

PRZYTULISKO

Szkoła Podstawowa nr 367
Im. Polskich Noblistów

Zespół redakcyjny pod opieką **P. Adriany Wiejak**

Zespół redakcyjny: **Michał Juraszek, Marta Piraszewska, Katarzyna Olszańska, Zuzanna Zimakowska, Miłosz Hajduś, Aleksandra Kamińska, Filip Zawiślak.**

Złota Rybka Bajka dla Choszczówki

„Bajka dla Choszczówki” jest tradycją naszej szkoły. Każdego roku w jedną z karnawałowych sobót klasa, której wychowawczynią jest Pani Adriana Wiejak, wystawia swoją wersję klasycznych baśni. Tym razem była to adaptacja baśni pt. „Złota Rybka”.



Przyjemnie jest robić coś, co wywoła szczery uśmiech na twarzach dzieci, a było ich naprawdę dużo. Z muzyką, śpiewem, tańcem i humorem zabraliśmy zaproszonych gości w świat baśni. Po kilku miesiącach prób uczniowie mogli przedstawić publiczności efekty swojej pracy. Zabrali oni widzów w świat rybaka i jego zrzędlivej żony oraz ich niezwykłych perypetii.



Bajka dla Choszczówki” jest imprezą dla dzieci, jednak wśród widowni można było dostrzec także uczniów naszej szkoły oraz liczne grono absolwentów, którzy z sentymentu do tej inicjatywy co roku odwiedzają szkołę.



Naszych aktorów wspierały także ich własne rodziny, ciekawe pierwszych aktorskich wcieleń.



Po części artystycznej na dzieci czekało jeszcze wiele atrakcji. Chętni mogli pomalować na kolorowo i baśniowo buzie, wziąć udział w ciekawych zabawach i konkursach z nagrodami, a nawet zatańczyć ze Złotą Rybką czy innymi bohaterami bajki. Na wszystkich czekał przepyszny poczęstunek, który został przygotowany przez Samorząd Uczniowski. Jak co roku „Bajka dla Choszczówki” okazała się sukcesem i wielką frajdą.

Kasia Olszańska i Marta Piraszewska- kl. 7e

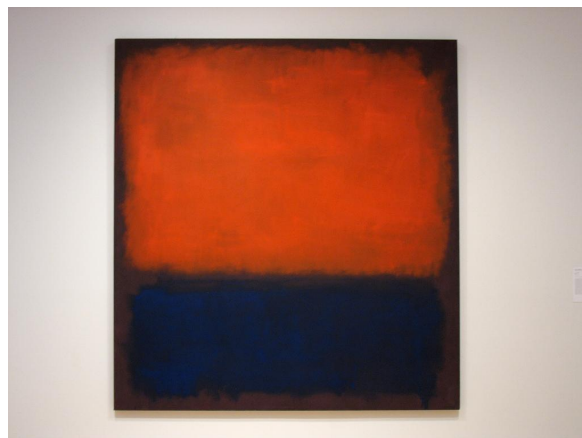
Też tak umiem o białych płótnach w muzeum

Sztuka nowoczesna to bazgroły i bohomyzy na sztaludze. Dzisiejsza sztuka to pacnięcie mokrym od farby pędzlem, wypicie kawki i pławienie się w milionach. Brak w tym kreatywności, za grosz talentu, każdy to potrafi. Ale czy na pewno?



Mateusz Maliborski – Muzeum LI

Przywołajmy swoje wspomnienia. W dzieciństwie bazgraliśmy kredkami najróżniejsze rysunki, które czasem były tak bardzo kreatywne, że aż niezrozumiałe dla nikogo innego poza nami samymi. Ale gdyby teraz wziąć do ręki kredkę i spróbować coś narysować, najprawdopodobniej spoczęlibyśmy na niczym.



Mark Rothko - No 14

Natomiast artysta, który uchwyci tę ulotną dziecinadę, rysując konika z mackami i wąsem, jest nazywany „bezznaczeniowym”, „bez głębi”. To, moim zdaniem, głupie. Sztuka nowoczesna w swojej, na pierwszy rzut oka najprostszej oraz jednocześnie najbardziej kontrowersyjnej formie, nie stanowi alegorii politycznych ani nie stara się uchwycić wielkich bitew historycznych. W końcu, gdzie w czerwonym kwadracie na pomarańczowym tle doszukiwać się batalistyki? To nie jest cel tych dzieł, one starają się uchwycić duszę i emocje.



Anish Kapoor - Cloud Gate

Jak wywołać zszokowanie? Jak wzbudzić kontrowersję? Tak głębokie i silne emocje starają się odtworzyć ci „beznadziejni” nowocześni artyści, kiedy zawieszają trzy białe płótna na ścianie muzealnej. Może płótno pochodziło z ręcznej roboty? Gdzie w tym sztuka? Podaję odpowiedź: w tobie. W twoim zdumieniu, w niezrozumieniu, w pewnym napadzie strachu przed nieznanym. Tyle zamieszania, a to przecież tylko pusty obraz, prawda?



Jeff Koons - Baloon Dog

Sztuka na najwyższym poziomie artystyzmu zawsze była domeną elity. Wśród neandertalczyków były to naskalne malowidła, a później kolejno: realistyczne odwzorowywanie rzeczywistości (portrety, martwa natura, realistyczne odwzorowywanie własnych wizji (tu pojawiły się już głębsze znaczenia i przekazy), abstrakcja, czyli nierealistyczne odwzorowywanie własnych wizji, aż do teraz, do aktualnej sztuki.



Olaf Brzeski - Upadek człowieka, którego nie lubię
Gdy tylko powszechny stawał się ostatni „elitarny” nurt, pojawiało się zapotrzebowanie na powiew czegoś nowego, świeżego, bardziej niedostępnego i niezrozumiałego dla przeciętnego zjadacza chleba. W dzisiejszej sztuce padło na kontrowersję, dziwny minimalizm, który uderza w samo sedno zapotrzebowania na „elitarność”. Dlatego też, czytelniku, nie szczędź tej sztuce obelg, bo jesteś jej ofiarą, stajesz się tylko marionetką pociągana za sznurki przez artystów igrających z twoimi emocjami.

Michał Juraszek- kl.2b

STARA, DOBRA ULTRA – PRZEMOC CZYLI KILKA SŁÓW O GENIUSZU ADAPTACJI STANLEYA KUBRICKA

Stanley Kubrick jest to osoba, której nie trzeba przedstawiać żadnej wykształconej osobie, która miała jakiekolwiek doświadczenie z filmami.

Dla niewtajemniczonych powiem tylko, że był jednym z najwybitniejszych, jeżeli nie najwybitniejszym, reżyserem w historii.

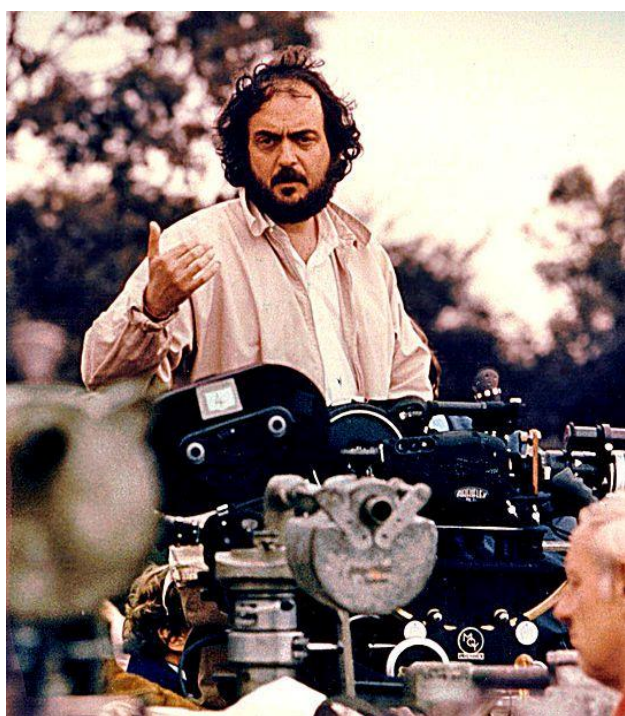


Większość filmów Kubricka to adaptacje. Jednak mimo tego reżyser był w stanie wykreować oryginalny świat i stworzyć postaci, nierzadko bardziej żywe niż w książce. Kubrick próbował swoich sił w wielu gatunkach filmowych

i zawsze wychodziło mu to świetnie. Przykładem może być „Doktor Strange-
love” lub „Jak przestałem się martwić i
pokochałem bombę”- to świetny pokaz
komediowych zdolności reżysera.



Natomiast „2001:Odyseja kosmiczna”
to wyjątkowy film science fiction z
elementami filozoficznymi. „Mecha-
niczna pomarańcza” to znowu genialne
połączenie groteski i dramatu. „Barry
Lundon” to zaś jeden z najlepszych
dramatów historycznych w historii (zo-
stał nagrodzony Oscarami). Film
„Lśnienie” to świetny horror, a „Full
Metal Jacket” to dramat wojenny do-
skonale ukazujący piekło wojny w
Wietnamie.



Bardzo ważną rolę w filmach Stanleya
Kubricka odgrywała muzyka. Sam re-
żyser mówił: „Mając do dyspozycji tak
bogaty repertuar symfoniczny oraz
awangardowy, nie bardzo widzę sens
angażowania kompozytora, który może
być nawet znakomity, ale przecież nig-
dy nie dorówna ani Mozartowi, ani Be-
ethovenowi. Postępowanie takie po-
zwala też na eksperymentowanie z
muzyką na wczesnym etapie montażu,
czasem nawet na przycinanie scen do
muzyki. Przy normalnym trybie pracy
nie da się tego zrobić równie łatwo”.
Przykładem takiego wykorzystania mu-
zyki może być tu IX Symfonia Beet-
hovena, która odgrywa dość ważną ro-
lę w „Mechanicznej pomarańczy”.

Niestety filmy Kubricka nie zawsze były
doceniane przez autorów książek, na
których były oparte. Stephen King nie
był zadowolony z ekranizacji „Lśnie-
nia”, a Anthony Burgess nie trawił „Me-
chanicznej pomarańczy”, opartej na
jego powieści.

Dobrze, ale właściwie co takiego ge-
nialnego jest w filmach Kubricka,
mógłby ktoś spytać. Odpowiem krótko:
wszystko. W filmach reżysera genialne
jest absolutnie wszystko, od scenariu-
sza i reżyserii, przez muzykę aż do ko-
stiumów. W filmach Kubricka wszystko
dopięte jest na ostatni guzik, nie ma tu
rzeczy nieprzemyślanej, wszystko jest
tak, jak chciał tego reżyser.

Stanley Kubrick opuścił ten świat w
1999 r., na kilka miesięcy przed pre-
mierą jego ostatniego filmu pt. „Oczy
szeroko zamknięte”.

W sumie uważam ten felieton za zbęd-
ny, ponieważ, jak wspomniałem na po-
czątku, każdy wykształcony człowiek
doskonale zna filmy Stanleya Kubricka
i jestem przekonany, że jeżeli widział
choć jeden film, to potwierdzi moje
słowa.

Filip Zawiślak- kl. 3b

Marcin Jamkowski

Wywiad

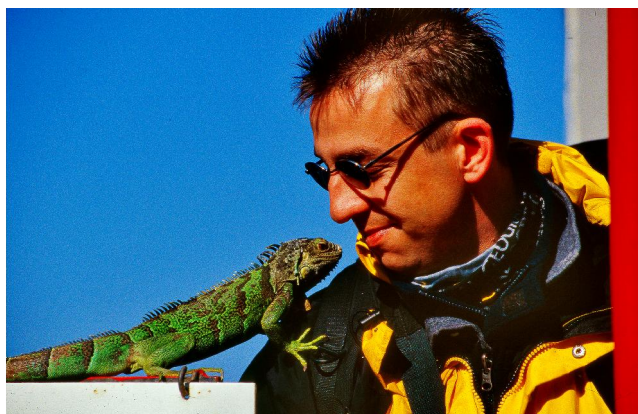
(podróżnik, wspinacz, nurek, dziennikarz naukowy, pisarz, reżyser)

- Co zachęciło cię do nakręcenia swojego pierwszego filmu?

- Mój pierwszy film był bardzo krótki, trwał tylko kilka minut. Chciałem na nim pokazać wspinanie w Afryce. Pojechaliśmy na wyprawę do Mali, w południowej części Sahary i zdobywaliśmy, nigdy wcześniej nie zdobytą przez człowieka ścianę. Bardzo chciałem pokazać, jak wygląda takie dziewicze miejsce. Pomyślałem, że film będzie świetnym sposobem ukazania tego.

- To bardzo ciekawe, nie miałam o tym pojęcia.

- Góra, której częścią jest ta ściana, to Ręka Fatimy. Jest ona otoczona zupełną pustynią.



- Czy towarzystwo żony jest przyjemne podczas kręcenia filmów?

- Oczywiście, jest to bardzo przyjemne, ponieważ bardzo miło pracuje się w dobrym towarzystwie, a towarzystwo rodzinne jest wyśmienite, dlatego bardzo lubię, jak pracujemy razem z żoną. Bardzo się cieszę, gdy możemy wspólnie wyjeżdżać i kręcić filmy czy robić zdjęcia. Zwykle miejsca, do których wyjeżdżamy, są bardzo atrakcyjne, więc jak wyjeżdżamy razem, to nie tylko do pracy, ale też, by spędzić przyjemnie czas.

- Czy masz już pomysły na kolejne filmy?

- Tak, mam pomysły na kolejne filmy, które chciałbym nakręcić. Teraz tylko muszę przekonać do nich kogoś, kto na te pomysły będzie chciał wyłożyć fundusze, bo kręcenie filmów jest bardzo drogie i bez wsparcia finansowego to by się nigdy nie udało. Muszę przekonać jakichś producentów, telewizję albo przedsiębiorców, żeby zdecydowali się wesprzeć moje pomysły. Nakręcenie filmu dokumentalnego może kosztować 100 – 200 tysięcy, a nawet milion złotych.

- To rzeczywiście bardzo drogie.

- Tak, a ja takich pieniędzy w portfelu nie noszę, więc potrzebuję sponsorów.

- Skupię się teraz na ostatnim Twoim dziele, czyli „Uratowanych z potopu”. Co Cię nakłoniło do wybrania takiej tematyki filmu?

- Skłonił mnie do tego artykuł, który przeczytałem w pewnym uniwersyteckim magazynie naukowym, w którym naukowiec opisywał wyniki swoich poszukiwań w archiwach. Znalazł stare listy, które król Jan Kazimierz wymieniał ze starostą warszawskim w czasie potopu szwedzkiego (1655-1660). Znalazła się w nich informacja, że Szwedzi zrabowali podczas wojny bardzo dużo marmurowych rzeźb i dekoracji z jednego z królewskich pałaców w Warszawie, a dodatkowo, że te wszystkie marmury zatoneły w Wiśle, ale nikt nie wie dokładnie gdzie. Spotkałem się z tym archeologiem i wspólnie stwierdziliśmy, że spróbujemy tych marmurów poszukać, a ja dodatkowo pomyślałem, że jest to świetny pomysł na film. Zdecydowaliśmy, że zorganizujemy jednocześnie wyprawę na poszukiwania i film.

Od pierwszego dnia wyprawy mieliśmy ze sobą kamerę i nagrywaliśmy z moim kumplem Kostkiem Kulikiem wszystko, co się działo, zupełnie nie wiedząc, czy kiedykolwiek cokolwiek znajdziemy. Przez pierwsze 2 lata nie znaleźliśmy zupełnie nic. Dopiero w trzecim roku

poszukiwań trafiliśmy na pierwsze marmury. Wtedy wiedziałem już, że mamy nie tylko skarb archeologiczny, ale również temat na film, nad którym warto pracować. W sumie pracowaliśmy nad nim aż 8 lat. Będzie miał premierę 14 marca w Nowym Jorku, a kilka dni później w Warszawie.

- Co najbardziej zaciekało Cię podczas kręcenia tego filmu?

- Bardzo mnie zaciekało to, jakie inne zabytki dotarły do Szwecji. Jeśli takie wspaniałe marmury, które my znaleźliśmy, utonęły, to co wtedy na innych łodziach i statkach dopłynęło do celu? Interesowało mnie, co to były za przedmioty, czy były to tak cenne i interesujące rzeczy, że można by je dalej w Szwecji odnaleźć? I szukałem informacji w archiwach, w muzeach i u historyków. Gdy pojechałem do Szwecji, spotkałem się z wieloma ekspertami i wypytywałem ich o różne polskie zabytki. Okazało się, że wiele zabytków przywiezionych w VII wieku z Polski, nadal w Szwecji leży. Są tam miecze polskich królów, księgi wywiezione z Polski w VII wieku. Na przykład księgi należące do samego Kopernika, sztandary, zbroje królewskie, a nawet dzwony, które zostały wywiezione z jednego z kościołów w Toruniu.

- To bardzo ciekawe.

- Tak, to mnie najbardziej zainteresowało, co do dzisiaj z tych rzeczy sprzed trzystu pięćdziesięciu lat można w Szwecji podziwiać.

Pojechaliśmy do Szwecji i sfilmowaliśmy wszystkie te przedmioty, żeby można było je pokazać.

- A czy ciekawy jest proces montażu takiego filmu?

- Tak, montaż tego filmu trwał 7 miesięcy, jest to praca polegająca na układaniu całego materiału, a przede wszystkim wybieraniu spośród wielu godzin materiału, bo mieliśmy około 100 godzin, a wybraliśmy 73 minuty. Jest to proces polegający na eliminacji niepotrzebnych fragmentów.

- No tak, bo ten film nie może przecież trwać tych stu godzin.

- Oczywiście! Po pierwsze nikt by nie był w stanie obejrzeć, a po drugie to byłoby po prostu nudne. Taką historię trzeba opowiedzieć szybko i zgrabnie, w taki sposób, by zainteresowała widza, a nie go zanudziła.



- Kiedy napisałeś swoją pierwszą książkę?

- Swoją pierwszą książkę napisałem w 2009 roku. Nosiła tytuł „Duchy z głębin Bałtyku”, a opowiadała ona o trzech okrętach, na których w czasie II wojny światowej w styczniu i lutym 1945 roku doszło do trzech największych tragedii morskich wszech czasów. Były to okręty niemieckie, nazywały się Steuben, Wilhelm Gustloff i Goya, łącznie na tych okrętach zginęło około 20 tys. ludzi. Na każdym z nich straciło życie wielokrotnie więcej osób niż na Titanicu, a mimo to niewielu ludzi wiedziało o tym wypadku, za to prawie wszyscy wiedzą o Titanicu. Pomyślałem, że jest to szalenie interesująca historia, którą warto by było opowiedzieć. Pojechałem więc do Niemiec, znalazłem rozbitków, którzy przeżyli te katastrofy. Gdy się do nich dostałem w kwietniu 2004 roku, ci ludzie mieli po 70-75 lat albo i więcej. Opowiadali swoje wspomnienia z tamtych czasów i dramatyczne wydarzenia, które się wtedy rozegrały na morzu. Potem pojechałem do Rosji i dotarłem do ludzi, którzy te okręty zatopili, a dokładnie rodzinę kapitana okrętu podwodnego, który storpedował

2 spośród tych statków. Sam kapitan już nie żył, natomiast jego rodzina mi bardzo dużo szczegółów opowiedziała, a ja też odnalazłem bardzo dużo materiałów w archiwach. Jak już miałem zarówno opowieści ze strony niemieckiej, jak i rosyjskiej, to popłynąłem na Bałtyk z bardzo dużą ekspedycją, którą kierowałem i zanurkowaliśmy na tych wrakach, zrobiliśmy zdjęcia, obejrzelismy te statki tak dokładnie, że mogłem je w książce opisać, razem z całą historią ich odkrywania.



- Co Cię skłoniło do napisania tej książki?

- Chciałem opowiedzieć nieznany szerzej rozdział w historii II wojny światowej. Dostyc dużo na ten temat wiedziałem i pomyślałem, że to jest coś na tyle ciekawego, że szkoda by było nie opowiedzieć o tym szerzej. Wcześniej napisałem o tym kilka artykułów, opublikowanych w magazynach naukowych nie tylko w Polsce, ale też za granicą. Ludzie zawsze bardzo żywo reagowali na te publikacje. Pomyślałem, że skoro artykuły tak bardzo ludzi zainteresowały, to książka, w której będę mógł więcej opowiedzieć, pewnie ludzi jeszcze bardziej zaciekaui. Rzeczywiście tak się stało. Książka spotkała się ze sporym zainteresowaniem, co mnie bardzo ucieszyło.

- Kiedy zacząłeś myśleć o napisaniu książki dla dzieci?

- Ja w ogóle nie myślałem o tym, żeby napisać dla dzieci. Myślałem, że nie potrafię pisać dla dzieci. Byłem prze-

konany, że tematy, które podejmuję, są tak bardzo poważne, a często również dramatyczne, na przykład jak te historie z II wojny światowej, że nie będę w stanie nic napisać dla dzieci. Ale odezwała się do mnie koleżanka, która jest wydawczynią książek dla dzieci i zaproponowała, żebym napisał książkę dla najmłodszych, którą ona będzie mogła wydać. Byłem zupełnie zaskoczony i wręcz trochę przestraszony. Mówiłem jej, że ja nie umiem pisać dla dzieci, ale ona była nieugięta i znalazła taki temat, w którym czułem się na tyle pewnie, że podjąłem wyzwanie. Zaproponowała, żebym napisał o wielkich odkrywcach. Mogłem wybrać tych odkrywców, którzy według mnie byli najwięksi i najbardziej przysłużyli się do zmiany ludzkiego postrzegania świata. Zdecydowałem, że ją napiszę w sposób jak najbardziej ciekawy i zrozumiały dla dzieci, tak jak potrafię. Bardzo się cieszę z tego doświadczenia, ponieważ pisanie dla dzieci jest chyba jeszcze trudniejsze niż dla dorosłych, bo trzeba nie tylko zainteresować, ale też bardzo uważać, żeby nie zanudzić czytelnika.



- Taka prawda, dzieci bardzo szybko się nudzą. Czy masz w planach kolejne publikacje dla dzieci? Z tej serii lub jakieś inne?

- Tak, napisałem już kolejną książkę dla dzieci, która ukazała się tej jesieni. Nosi tytuł „Wielcy Wynalazcy” i tym razem są to historie 30 osób, które stworzyły najważniejsze wynalazki, które najbardziej zmieniły nasze życie codzienne. Od takich wynalazków jak samochód czy samolot, przez elektryczność, aż po komputer, a nawet telewizor.

- No tak, o wynalazcy telewizora się nie mówi, a jednak taki sprzęt bardzo oddziałuje na społeczeństwo, a w szczególności na młodzież i dzieci.



- Za każdym z tych wynalazków stoją bardzo ciekawe historie, a także ludzie. Większości z tych wynalazków dokonali ludzie o bardzo silnej osobowości, nietypowych pomysłach na życie i bardzo zdecydowani. Bardzo mi się podobało to, że mogłem napisać książkę nie tylko o wynalazkach, ale głównie o wynalazcach. Była to podróż przez absolutnie fascynującą galerię postaci.

- To prawda, te historie nie są zbyt znane, a bardzo ciekawe. Czy masz pomysły na kolejne książki?

- Chodzi mi po głowie pomysł na książkę o wyprawach, w których brałem udział, ale jeszcze nie mam dokładnego pomysłu na formę, w jakiej to napiszę.

- Będzie to na pewno bardzo ciekawe, bo brałeś udział w wielu wyprawach.

- To prawda, rzeczywiście brałem udział w kilku fajnych wyprawach. Miałem okazję fotografować i opisywać, więc chętnie bym to napisał, żeby po

prostu wrócić pamięcią do najciekawszych wypraw, na które pojechałem.

- Taka książka na pewno pobudzi te wspomnienia.

- Tak, zdecydowanie. Na pewno sięgnę do jakichś moich notatek, dzienników, pamiętników i zapisków, które robiłem. To byłoby takie odkurzanie starej pamięci. Tylko nie wiem, czy już jestem w takim wieku, by pisać wspomnienia. Może jeszcze poczekam aż będę miał długą, długą siwą brodę.

- Eh, no bez przesady! Bardzo Ci dziękuję za poświęcony czas.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Zuzanna Zimakowska- kl.2e

Dla człowieka

Tak było porażająco zimno, że aż ciepło.

Astronauta usiadł na wrzącej ziemi, po czym padł na plecy, bezsilny, bezwładnie. Była równo godzina dwudziesta ósma, kiedy tak poddał się na ognistym śniegu. Hełm mu gdzieś spadł, oddychał płytko lekką piersią, rzadkim powietrzem. Widział już rzeczy, których nie poznał żaden człowiek na świecie. Fascynacje i obce mu sekrety stały się przeszłością. Oczy go piekły, jakby chciało mu się spać, i tylko zwalczał teraz pokusę przymknięcia powiek na dobre, walczył o własne przetrwanie. Ależ spocily mu się barki.



Żar dwóch słońc promieniował wysoko – większe, piekielnie czerwone, górowało, natomiast mniejsze, błękitne, już zachodziło, opiekając ciało astronauty wieczornymi błyskami. Wbijał wzrok prosto w te dwa świecące punkciki na purpurowym niebie, żeby zachować przytomność. Mówił sobie: co z tego, że lada moment oślepnie – to już nie ma żadnego znaczenia, gdy zamarzy na gorącym śniegu. Jeszcze pamięta. Zaraz zapomni, ale wciąż pamięta, jak pali się żarówka, jak iskrzy się samolot między chmurami. Tu nie ma miękkich chmur ani żółtego światła żarówki. Wydaje mu się, że jeszcze pamięta szafę grającą i rozgonione oczy dzieci w gorączce... Przeszłość i teraz zlewają się i mężczyzna przez chwilę żyje w przekonaniu, że sam jest takim dzieckiem tarmoszącym się w gorączce.



Zdaje mu się, że ma włosy obcięte na jeża i kotłuje się wśród szeregów innych, podobnych mu dzieci. Zaraz jednak wraca do rzeczywistości. Tu nie było dzieci o szklistych spojrzeniach, ale czyż to właśnie nie one go żegnały modlitwą i troską? Astronauta musiał przed sobą przyznać, że nie miał zielonego pojęcia, jak było naprawdę. Być może tracił rozum, a mózg mu już zaczynał skwierczeć – to było możliwe. Znów przeniósł zmęczony, zamglony

wzrok na dwa bolesne punkciki. Albo właśnie postrada zmysły, albo wreszcie zaczyna rozumieć. Pojawia się zwątpienie, że to wszystko na marne, że wróci do domu z pustymi rękami, ba, że nie wróci wcale. Że nie przyniesie następnym pokoleniom ratunku w postaci małych, białych probówek z substancją. Astronauta nie chciał w to wierzyć – zrzucił winę na ścinające się właśnie teraz białka w mózgu. Zaciskał pięści i zęby równie twardo, bo ta walka już była tylko formalnością.



Teraz nad głową przelatują mu nieznane, pływające ptaki i kołują, niebezpiecznie szybko zniżają lot. Wszystko sunie w jego stronę. Mężczyzna z przyjemnością rozerwałby opalizujący materiał opinający klatkę piersiową i zdałby się na pastwę natury, ale już nie miał na to sił. Widzi kaczki i motyle, fascynują go. Cały świat go przyciąga. Już zna wyjście, już prawie się urodził, prawie dobrnął do celu życia. Nie ma już śmierci. Nareszcie zgłupiał. Otwiera tylko spękane, choć wilgotne od potu usta. Mamrocze bezdźwięcznie jak ryba, wyciągnął nawet różowe rączki w górę: Ma-ma.

Zanim wybiło piętnaście po dwudziestej dziewiątej, serce astronauty już wcale nie biło. Odfrunęło do domu, na odległą planetę, do dzieci.

Michał Juraszek- kl. 3b

coco

"Coco" to animowany film familijno-przygodowy w reżyserii Lee Unkricha. Został wyprodukowany w 2017r.



Akcja filmu rozgrywa się w meksykańskiej wiosce Santa Cecilia. Mieszka w niej młody chłopak Miguel, który chce zostać piosenkarzem, jednak jego rodzina mu na to nie pozwala. Miguel urządził sobie na strychu kryjówkę, gdzie grał i słuchał występów i piosenek swojego idola Ernesta de la Cruza. Pewnego dnia w święto zmarłych odkrył, że idol jest jego przodkiem.



Rozemocjonowany powiedział o tym swojej rodzinie, co wprawiło ją, a w szczególność babcię, w wielki gniew. Familia zakazała mu grania, śpiewania i robienia czegokolwiek związanego z muzyką. Miguel nie chciał się na to zgodzić i w efekcie uciekł. Chciał wziąć udział w konkursie wokalnym, ale nie miał gitary, więc zakradł się do grobu

de la Cruza i ukradł gitarę. Na skutek zbiegu okoliczności przeniósł się do świata zmarłych.



Film opowiada o tym, że w życiu najważniejsza jest rodzina. Główny bohater postawił na muzykę, jednak ostatecznie zrozumiał, że rodzina jest największą wartością. Gdy zabrakło mu jej wsparcia, przekonał się, jak wiele dla niego znaczyła. Z drugiej strony Miguel doszedł do wniosku, że w życiu trzeba dążyć do spełnienia swoich marzeń, nie wolno o nich zapomnieć. Często droga do celu jest trudna, ale nie wolno się poddawać, tylko z uporem do niego dążyć.



„Coco” w bardzo przystępny, ale i niecodzienny sposób ukazuje zwyczaje i obrzędy Meksyku. Dokładniej chodzi o Święto Zmarłych, czyli Dia de los Muertos, które jest tam obchodzone zupełnie inaczej niż w Polsce. Meksykanie wierzą, że jeśli się pamięta o zmarłych i ustawi się ich fotografię na specjalnym ołtarzyku, to przyjdą oni do świata żywych. Pozostaną niewidoczni, ale spędzą to święto wraz ze swoimi rodzinami.

Film „Coco” jest animowany, dlatego pierwsza myśl, która się nasuwa, to że jest to film dla dzieci. Oczywiście najmłodszym na pewno film się spodoba, ponieważ jest wesoły i ma wartką i ciekawą akcję. Jednak przekaz zawarty w filmie czyni go atrakcyjnym dla każdej grupy wiekowej. Jego piękna, niebanalna, lekka i zarazem nieprzewidywalna fabuła, pełna zwrotów akcji i niespodziewanych zdarzeń potrafi „wciągnąć” każdego. To mądra i ciepła opowieść, z której można się i pośmiać, i wzruszyć.

Marta Piraszewska- kl. 7e

Romeo i Julia w XXI wieku

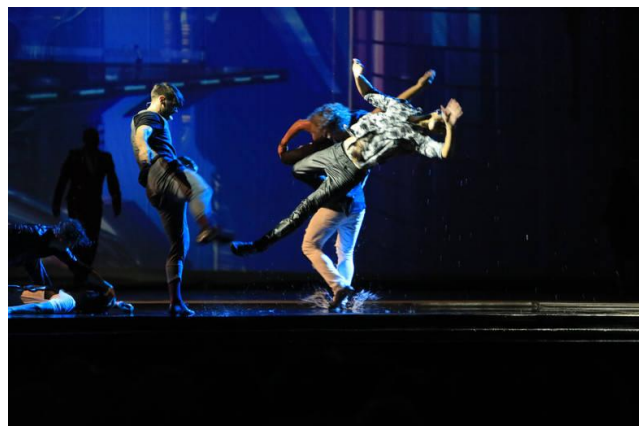


7 lutego 2018 roku w teatrze Buffo w Warszawie miał miejsce spektakl pod tytułem „Romeo i Julia”. Przedstawienie odbywało się z wykorzystaniem ekranu 3D i wody. Oparte było na lekturze „Romeo i Julia”. Było jednak uwspółcześnione, osadzone w przyszłości; na przykład Romeo na początku spektaklu zakochał się w sztucznej inteligencji. Wszystkie wydarzenia powiązane są z korzystaniem z Internetu i telefonów. Ciekawym urozmaicheniem całego spektaklu było zastosowanie wody. Była ona używana jako kurtyna, na której wyświetlano obrazy, ale też jako element choreografii. Tło wyświetlało się na ekranie 3D, co stwarzało bardzo realne

otoczenie; miało się wrażenie, że naprawdę jest się w przyszłości. Przedstawienie miało formę musicalu. Śpiewane fragmenty były bardzo urozmaicone, wpadały w ucho.



Ubiór aktorów także był bardzo różnorodny. Niektórzy mieli na sobie współczesne ubrania, na specjalne okazje wkładali zaś strojne szaty pasujące do wyobrażeń o przyszłości. Inni byli skromnie ubrani, na przykład nie mieli koszul.



Bardzo spodobały mi się wyczyny kaskaderskie, takie jak jeżdżenie na motorze czy też skakanie z wysokości. Spektakl nawiązywał do różnych środków uzależniających, o których dużo się mówi w naszych czasach. Sprawiał wrażenie, jakby wszystkie wydarzenia były halucynacją. Przedstawienie bardzo mi się podobało. Jego forma jest wyjątkowa, myślę, że nie ma spektakli podobnych do tego. Dlatego uważam, że warto je obejrzeć. Dla tych, którzy nie bywają w teatrze, może być złamaniem stereotypu nudnych, ciągnących się spektakli. Stałym gościom teatrów musical ten też zostanie na długo w pamięci.

Ola Kamińska- kl. 2e

Romeo i Julia 3D

czyli dramatyczne chlapanie wodą na boki

Sztuka "Romeo i Julia" została napisana przez Williama Szekspira w XVI wieku. Dramat ten, jakże piękny w oryginale, został zupełnie zniszczony przez reżysera adaptacji wystawianej w teatrze Buffo.



Janusz Józefowicz, bo o nim mowa, zabił nastrój i piękno tragedii, zmieniając ją w sprośną pseudokomedie, osadzoną w futurystycznej rzeczywistości pełnej hologramów, śpiewu i... wody.

Tak, ten musical dumnie zwie się „pierwszym wodnym dramatem na świecie” i przyciąga uwagę widza listwą zawieszoną nad sceną, która opryskuje w niektórych scenach aktorów litrami wody, które nieuchronnie trafiają też na widownię.



Z sufitu również cieknie woda z nieszczelnej rury, przez co nie da się uniknąć zmoczenia.



Gra aktorska jest na dość niskim poziomie, zbyt głośna muzyka, wszechobecne wulgaryzmy, seksizm, homofobia i prostactwo biją z każdej kwestii, podkreślając niski poziom tej sztuki.



Podsumowując: cała ta żałosna kompozycja powoduje, że zarówno złote, kiczowate stroje, które powinny odrzucać, były jedynymi elementami, które mogły zainteresować widza.

Byłem bardzo niezadowolony i rozczarowany zarówno sztuką jak i moją obecnością na widowni.

Moje zniesmaczenie było o tyle większe, iż za tę wątpliwą przyjemność oglądania

tej parodii dramatu przyszło mi zapłacić aż 80 złotych, która to kwota, patrząc na jakość sztuki, była wygórowana.

Drugi raz nie obejrzałbym tej sztuki nawet bez opłaty za bilet i wszystkim fanom pióra Szekspira odradzam oglądanie „Romea i Julii 3D”.

Miłosz Hajduś- kl. 2e